Nr. 34 Rok 5 Kraków, dnia 20 sierpnia 1944. 40 gr.

Ilustrowany Kurjer Polski



„Truś, truś, truś...“

Fot: Eurofot

Na lewo:
By zabezpieczyć ważną dla komunikacji, a zagrożoną przez bolszewików, szosę, otrzymał oddział ϟϟ rozkaz przepędzenia nieprzyjaciela. Przed przystąpieniem do akcji dowódca omawia z oficerami plan ataku.





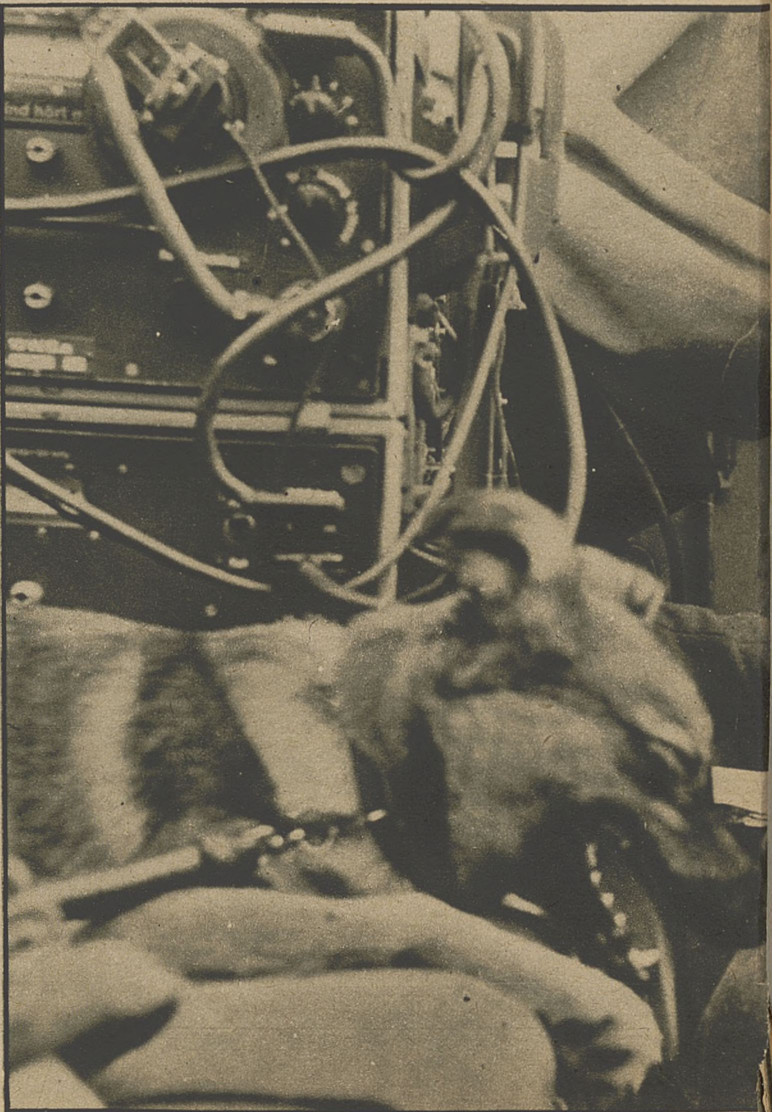


W A L K A



Fot. SS. PK. Slapak





Powyżej:
Żołnierze zwolna posuwają się naprzód. Ostrożnie suną ciężkie czołgi przez mały mostek.

Powyżej na lewo:
Na czele oddziału jedzie dowódca w swym wozie pancernym.

Czołgi typu „Pantera" oraz szybkie wozy pancerne stoją gotowe do wyprawy. Dowódca oddziału czeka na rozkaz do wymarszu.



Czoło oddziału spotkało się na skraju wioski z oporem bolszewików. Dowódca daje rozkaz do ataku.



Czołgi rozjeżdżają się na wszystkie strony, by zaatakować bolszewików.



O S Z O S Ę

Czołgi walczą. Uformowały się w półkole i ostrzeliwują bolszewickie pozycje, podczas gdy grenadierzy posuwają się naprzód pod osłoną ich strzałów.







Na lewo:
Oddział ubezpieczający — drogą iskrową zawiadamia swą dywizję, że szosa jest całkowicie zabezpieczona.

Powyżej:
O tę szosę toczyła się zażarta walka. Obecnie jadą już na niej oddziały wojsk niemieckich na front.

KRAKÓW BUDUJE



Z łopatami na ramionach udają się mężczyźni i kobiety na miejsce, gdzie dziś odbędzie się praca.



Powyżej:
Przy pięknej pogodzie praca raźno postępuje naprzód.



Na innym odcinku. Kobiety donoszą mężczyznom do rowów paliki i gałęzie.



Zdając sobie sprawę z powagi chwili i z całego ogromu niebezpieczeństwa, idącego ze wschodu, społeczeństwo krakowskie usłuchało wezwania odnośnych władz, wzywających do współdziałania przy wznoszeniu wału ochronnego, który ma się przyczynić do odpierania bolszewików od obszaru krakowskiego.

Codziennie spieszą gromady młodych mężczyzn, kobiet i dziewcząt na miejsce pracy i gorliwie pracują przy kopaniu rowów. Z radością i dumą spoglądają, jak rośnie stale ich dzieło i szybkim krokiem zbliża się ku wykończeniu.

Na lewo:
I papierosa też nie zabraknie po obiedzie.

Poniżej:
Praca kopania na jednym z odcinków dobiega końca. Wkrótce nastąpi przeniesienie „drużyny" na inny teren.





Kąpiel słoneczna podczas przerwy obiadowej.



Na lewo u góry:
Tym razem kobieta jest górą, a mężczyzna całkiem nisko.



Powyżej:
Przy wspólnym wysiłku praca idzie raźniej naprzód.



Podczas gdy mężczyźni wykopują rowy, kobiety wyrównują darń.





Na prawo:
Dla umocnienia spadzistości dziewczęta znoszą darń.



Powyżej:
Para narzeczonych podczas odpoczynku spożywa posiłek.

Poniżej:
Praca kopania rowów w całej pełni. Jeden odcinek za drugim powstaje, wykończony pilnymi dłońmi.



Powyżej:
Po pracy i pod gołym niebem obiad jest smaczniejszy.



WAŁ OCHRONNY



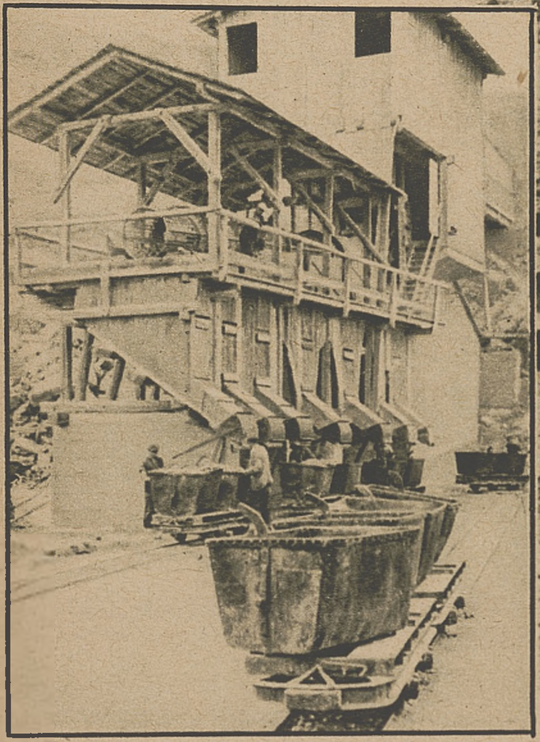
Na prawo:
Chłodzący napój.

Tekst i fot. W. W.

NARODZINY KOSTKI BRUKOWEJ



Po dziesiątkach lat produkcji całe wnętrze porfirowej góry zieje raną olbrzymiego kamieniołomu.



W młynach gruz porfirowy ulega miażdżeniu i sortowaniu na różnej grubości tłuczeń do budowy nawierzchni dróg bitych.

Każda rzecz, nawet tak „przyziemna" jak porfirowa kostka z bruku, ma swą, nieraz ciekawą historię powstania. Znamy dobrze te szaro-czerwone kostki w bruku ulic naszego miasta. Tkwią gęsto, karnie, wyrównane pod sznur. Codziennie po nich chodzimy, ale ani przez myśl nam nie przejdzie skąd pochodzą i jak powstały, bo któż by tam dziś myślał o tym w czasie gorączki wojennego życia! A tymczasem powstanie ich poprzedziła ciężka i znojna praca setek ludzi. Skałą, z której ród swój wywodzi większość naszych brukowych kostek, są porfirowe skały, resztki olbrzymich rdzeni wulkanów, które przed jakimiś 400-tu milionami lat, gdy na naszej ziemi dopiero rozkrzewiać się zaczynało życie i ani o ssakach ani o człowieku jeszcze się nie śniło, napełniały okolice grozą gigantycznych kataklizmów.

Dziś skały, pochodzące z zaskrzepłych law tych wulkanów, odkrywane są w wielkich od kilkudziesięciu lat czynnych kamieniołomach. Zostało tu wypróżnione po latach produkcji całe wnętrze porfirowej góry, ziejące olbrzymią okrągłą raną, na dnie której uwija się, przy wtórze warkotu maszyn i wiertarek, setki robotników, wyglądających jak małe mrówki w zestawieniu z ogromem skalnych ścian. Specjalni robotnicy nawiercają maszynowymi wiertarkami otwory dla założenia dynamitowych ładunków, których wybuchy rozkruszą skałę i udostępnią dalszej obróbce. Teraz następuje rozdrabnianie młotami i klinami. Wreszcie te z grubsza obrobione kawałki skały dostają się w ręce kamieniarzy, którzy precyzyjnymi uderzeniami młota i dłuta formują z nich ostatecznie sześcienne brukowe kostki. Mniej przydatna część materiału skalnego wędruje do młynów, gdzie ulega zmiażdżeniu i przesortowaniu na drobny tłuczeń do budowy nawierzchni dróg bitych. Wreszcie gotowe produkty kamieniołomu, tłuczeń i kostka porfirowa, wędrują w wagonikach linowej kolejki do stacji, gdzie załadowane na wagony wędrują w świat, by umożliwić budowę nowych dróg, autostrad i ulic.



Rozluźniony wybuchem materiał ulega dalszemu rozdrabnianiu przy pomocy klinów i młotów.



Po wybuchu, u stóp ścian skalnych gromadzą się nałdy gruzu.



Przy wtórze przeraźliwego zgrzytu, świder motorowej wiertarki nawierca otwór dla dynamitowego ładunku.

Pod precyzyjnymi uderzeniami dłut i młotów wprawnych kamie[illegible] z nieforemnych [illegible] porfiru powsta[illegible] [illegible]ka brukowa

KRYSTYNA WAJCHT-SALABURSKA

ŚWIAT JEST INNY

SZKIC

2 ciąg dalszy

— A czy zastanawiałaś się kiedy nad budową kwiatów, nad procesem zapylania? Wiem, że uczyłaś się o tym w szkole, widziałam cię studiującą mchy. Czy zastanowiłaś się nad tym?

— Nie!

— Czy nie uważasz, że nie ma nic piękniejszego nad kwiaty? A udowodnię ci, że pewne czynności kwiatów i ludzi są identyczne! Czy do kwiatów również czuć będziesz wstręt?

— Tak! Jeśli i kwiaty?! I kwiaty nienawidzę! O ciociu! Ciociu!! To straszne! Ja nie mogę żyć! Ja nie chcę żyć! Nie wrócę nigdy do domu! Chcę umrzeć! Ach, to jedno, tylko tego pragnę! Umrzeć! Nie wiedzieć!

Ciocia Marta wolno wysunęła szufladę biurka i wyjęła z niej mały, czarny browning.

— Nikt cię do życia nie zmusza. Proszę, zabij się, jeśli doprawdy masz do tego powody! No, bierz rewolwer!

Siłą wetknęła go jej do ręki.

Niemile ziębiła stal. Dreszcz przebiegł przez zgorączkowane ciało.

— Śmiało, Nuno, do skroni! Nie zobaczysz już nigdy słońca, nie pójdziesz nigdy do kina, do szkoły, nie zostaniesz aktorką! Widać kłamali ci, co mówili, żeś stworzona dla sceny! No, śmiało! Na co czekasz?!

Nuna drżała nerwowo.

— Boisz się?! Więc ja cię zabiję!!!

Wyrwała Nunie rewolwer i spokojnie zaczęła celować. Dziewczyna gwałtownie szarpnęła się w bok.

— O, ciociu! Ciociu! Nie chcę! Nie chcę! Boję się!

Upadła na krzesło z histerycznym płaczem, co wstrząsał nią całą.

— A widzisz, głupia, mała dziewczynko! Najchętniej wsypałabym ci klapsa! Widzisz, że cenisz życie! Upajałaś się swoimi słowami, tylko słowami, Nuno! Napij się wody i nie miej już takich przerażonych oczu. To jest straszak! No, uśmiechnij się, bohaterko! Życie jest piękne! Pójdziemy jutro na lody, pójdziemy do kina! No, dobrze już?... A teraz bądź chwilkę rozumną panienką! Czy wiesz, że twoja matka bardzo cierpiała, gdy przychodziłaś na świat? Czy wiesz, że byliśmy pewni, że przypłaci to życiem? Czy wiesz, że w chwili, gdy ból skręcał jej członki, krzyknęła: „Ratujcie dziecko!"?... Byłaś niesprawiedliwą, Nuno! Największym, najświętszym zadaniem kobiety jest być matką. Czy może być coś szczytniejszego, jak dać życie? Pomyśl: dać życie kosztem swojego cierpienia! Musiałaś nie zastanawiać się wcale! Od kogo ty się dowiedziałaś?

— Służąca Izy...

— Ach, służąca! A teraz ja ci wszystko wytłumaczę!

Ciocia Marta otwarła przed Nuną grubą książkę i tłumaczyła jej oglądane ryciny.

— Dopiero teraz wiesz wszystko!

Nuna powoli przychodziła do siebie. Słowa ciotki trafiały jej do przekonania. Czuła się tak, jakby otwarto jej jakąś nową komórkę w mózgu. Zaczynała rozumieć...

Ciocia Marta gładziła jej włosy.

— Moje życie, Nuno, choć tak wypełnione pracą, jest zupełnie puste. Jestem doktorem, jestem nowoczesną kobietą, ale wierz mi, że nigdy nie dorównam mężczyźnie lekarzowi. To już wina konstrukcji fizycznej kobiety. Są dni, że jestem bardzo zdenerwowana, cierpiąca i nie podjęłabym się wtedy nigdy poważniejszej operacji. Nie osiągnęłam również całkowitej kobiecości nie mając dziecka, i dlatego czasem jest mi bardzo smutno i źle. Ja, co koję cierpienia, co odbieram dzieci od moich pacjentek, stoję dużo niżej od każdej z nich, bo moja wiedza, mój dyplom doktorski, nie dorówna nigdy spełnianemu przez nie zadaniu. Zrozumiesz to kiedyś, Nuno, gdy tkliwość zaleje ci serce na widok małego, bezbronnego dzieciątka, z którego ma być kiedyś człowiek, który znowu da komuś życie.

— Ciociu, ale to się robi przecież nie tylko dla dzieci!

— Tak, Nuno, to prawda! Nie trzeba nad tym teraz myśleć! Nie zrozumiesz tego! Jesteś jeszcze dzieckiem... Przyjdzie czas, że odezwą się w tobie zmysły, wtedy zrozumiesz wszystko. Kiedyś pokochasz i sama zapragniesz zbliżenia z mężczyzną, który najlepiej, żeby był twoim mężem! Zostawmy to czasowi! Teraz miej wdzięczność dla swych rodziców, że dali ci życie, baw się, dbaj o siebie z myślą, że i ty napewno mieć będziesz dzieciątko.

Nuna czuje, jakby jej przybywało lat. Poważnieje...

— Idź już kochanie! Ucałuj ręce twojej mamusi!

O, tak! Przytulić się do tych białych, najdroższych rąk! Błagać w duchu o przebaczenie! Czuć słodki zapach i ciepło ślicznego mamusinego ciała, które kiedyś cierpiało tak dla niej, dla Nuny! Kochana, dobra mateńka! Śliczny aniołek, co chciał zostać mamusią takiej złej dziewczyny!

Prawie biegiem przebywa ulicę. Układa sobie w myśli wszystko: jak przyjdzie, jak rzuci się mamusi w ramiona, jak spojrzy z wdzięcznością w niebieskie, duże oczy: „Dziękuję, że dałaś mi życie!"

Wsadza rękę do kieszeni i znajduje w niej klucz. Klucz? Ach, tak! Julka go jej dała, gdy wychodziła na chwilkę, by kupić sobie zeszyt. Zapomniała go jej oddać.

Wchodzi na schody. Jak dobrze zna te schody! Ile razy dziennie przebywa ich nudne stopnie! Czasem w zamyśleniu, czasem wesoło. Ile o ludzkich nastrojach mogłyby powiedzieć schody! Zatrzymuje się pod drzwiami. Tak, jak zawsze lśni tabliczka z nazwiskiem, ale blask jej dziwnie razi Nunę w oczy. Złota tabliczka, fałszywa, metalowa płytka, robiąca wrażenie złotej! Fałszywa!

Nuna wsadza klucz do zamku i nagle zatrzymuje rękę. Ogarnia ją jakiś szalony strach, który każe cofnąć się, uciec, lub... zadzwonić, głośno, długo zadzwonić, żeby tam w domu rozległy się kroki, żeby ktoś sam otworzył drzwi! Głupie, bezpodstawne uczucie!

Drzwi otwierają się bezszelestnie. Nuna jest zła! Właśnie wolałaby, żeby zgrzytnęły, żeby nie było tej niemiłej, czającej się ciszy!

W przedpokoju jest ciemno. Nie warto zapalać! Nuna idzie prosto do gabinetu mamusi. Znowu nieznośnie cicho otwiera drzwi. Smuga bladego światła sączy się z przyległej sypialni. Jakiś instynkt każe Nunie czaić się cichutko...

Dlaczego?

Przecież zupełnie inaczej wyobrażała sobie powrót do domu?! Inaczej! Wszystko w życiu układa się inaczej! Nuna wyczuwa, że tam... u mamusi, jest ktoś i że tym kimś jest... pan Maks! Serce podchodzi jej do gardła! Do uszu dolatuje znany, kochany głos:

— Tak chciałabym, Maks, pojechać tam z tobą, zwiedzilibyśmy sobie Włochy, nie przeszkadzałabym ci w pracy! A tak, muszę przeklinać redakcję, że nas rozdzieli!

— Więc jedź ze mną!

— Ach, jakżebym chciała! Ale ciążą na mnie przecież małżeńskie łańcuchy! Ciąży na mnie obowiązek matki!

Jakto?! Więc tak?!!! Więc ta mamusia, która kiedyś krzyknęła: „Ratujcie dziecko!" — mówi teraz, że ciężarem jest jej małżeństwo? Jest jakoś inaczej! Jakoś strasznie inaczej!

— Nic nie poradzimy, Maks! Nie warto myśleć! Lepiej całuj mnie! Całuj! Kocham cię, jedyny!

— Elżuś! Mój skarbie! Maleńka! Czekaj! Zsuń trochę szlafroczek! Takie cudne są twoje ramiona!

Smuga mdłego światła wiruje nieprzytomnie przed oczyma Nuny... Nogi wrosły w miękki, perski dywan. Nie można zrobić kroku, ani w tył, ani w przód! Trzeba czekać do końca i słuchać jak słowa przechodzą w szept, a szept w szmer pocałunków... Tam szlafrok zsuwa się z ramion mamusi, a tu trzeba stać, przyciskać bijące serce, by nikt nie usłyszał skargi. Trzeba pić do końca gorycz, co wsiąka w młodą duszę... I nic! I tylko stać!!! Nuna wie jedno: że dzieje jej się wielka krzywda, i że zrozumieć mógłby ją tylko tatuś!

Wysuwa się do przedpokoju. Cichutko wychodzi z mieszkania. Szumi jej mocno w głowie... Nie zdając sobie sprawy po co to robi i dlaczego, wsiada do taksówki i rzuca adres tatusia fabryki.

Płacić?

Nuna daje jakąś monetę i wbiega na schody.

Znowu schody?! Schody?! Prędko! Prędziutko! Ile to o nastrojach ludzkich wiedzą takie zwykłe, najzwyklejsze schody!

Sekretarka tatusia uśmiecha się do Nuny z przymileniem:

— Pan dyrektor teraz bardzo zajęty! Proszę, niech panna Nuna chwilkę zaczeka!

Co ona mówi? Czekać? Jeszcze czekać?!

— A co tatuś robi?

— Pracuje nad ważnym interesem.

Nuna wie, że są chwile, w których głupstwem jest najważniejszy interes! Wymyka się sekretarce i wpada do gabinetu.

Za wielkim biurkiem siedzi tatuś nad stosem papierów. Marszczy niechętnie czoło, gdy patrzy kto śmiał mu przerwać pracę. Nuna rzuca się ojcu na szyję.

— Co się stało? Po co ty tu Nuna?!

Nuna wybucha szlochem... Trzyma kurczowo rękę tatusia, wpija w nią paznokcie i ciągnie go do drzwi.

— Chodź do domu! Tam... w sypialni... pan Maks i mama... no, chodź!!!

Twarz tatusia kamienieje. Łapie Nunę za ramiona i trzęsie nią z całej siły:

— Co ty mówisz, ty głupia?! Co ty mi mówisz?!

— Ach, chodź! Bo jeszcze uciekną do Włoch!

— Do Włoch?!

Mała ma jednak rację! Redakcja wysyła Maksa do Włoch. Jadą do domu w milczeniu, które jest gorsze, niż najśmielsze słowa.

W domu wychodzi im naprzeciw mamusia, uśmiecha się słodko poprawiając ręką jasne, jaśniutkie włosy, co lśnią, jak tabliczka, jak fałszywie złota tabliczka na drzwiach. Widać pan Maks już poszedł! Ojciec popycha Nunę:

— Marsz do pokoju!

Mały, różowy pokoik jest teraz klatką, którą przemierzają nerwowe nogi Nuny.

Więc jest inaczej! Inną jest ta mamusia, którą Nuna miała za aniołka z obrazka! Inną jest! O jakże inną!

Nuna czuje szarpiący ból pierwszego, wielkiego zawodu... Przyciska czoło do szyby i stara się skupić uwagę na ruchu ulicznym. Jeżdżą szybko auta... Idą wolno ludzie... Mali, niepozorni, szarzy ludzie... Jak co dzień... Jak zawsze o tej porze... Choć dusza Nuny kona z rozpaczy... Wloką się wolno spokojni, obojętni ludzie i jeżdżą szybko krzyczące syrenami auta... Jak zawsze... Jak gdyby nic się nie stało...

Drży cała w strachu, co przenika ją na wskroś. Żałuje tego co zrobiła. W oczach tatusia widziała coś tak nieopisanie strasznego, że aż kurczy się na samo wspomnienie! Co tam teraz się dzieje?... Nuna nie może sobie znaleźć miejsca.

Nagle jakiś głos wewnętrzny każe jej iść tam: do rodziców! Zrywa się jak szalona! Biegnie przez upiornie ciemne pokoje! Słyszy ochrypnięty głos tatusia. Rzuca się cała na drzwi!

Mamusia cofa się w przerażeniu przed grożącym rewolwerem ojcem. Niedawno ciocia Marta... ale to był straszak i... inaczej!

Krzyk wyrywa się z piersi:

— Nie! Nie! Nie zabijaj jej!!!

Tatuś oszalałym rozpaczą gestem wyciąga rękę ściskającą browning!

Jednym susem Nuna dopada matki! Zasłania ją sobą!

Słyszy ostry trzask rewolweru i wściekły ból w ramieniu skręca ją w pół!

Ktoś krzyknął: — Jezus Maria!

Nuna osuwa się do nóg matki.

— Mamusiu... moja śliczna mamusiu!

Zdaje jej się potem, że leci gdzieś strasznie wysoko, wysoko i słyszy szum, jakby wezbrane morze uczuć wchłaniało ją całą.

ROZDZIAŁ II.

Pięknie wyglądają konfitury z wiśni na lśniących, kryształowych spodeczkach. Odbijają się w rżniętych wgłębieniach i migocą stubarwną tęczą.

Pani aptekarzowa patrzy na Nunę zajadającą ze smakiem, kiwając w litościwym zamyśleniu głową misternie utlenioną.

Dobre są konfitury z wiśni!

Tłuste, toczone, z wymalowanymi krwawo paznokciami, ręce, nakładają Nunie co raz to nową porcję. Dłonie mamusi były szczupłe, długie, śliczne! Ręce pani aptekarzowej są krótkie i brzydkie!

Takie wspaniałe konfitury robi również matka Ewy, która czesze się w kok i nosi bawełniane pończochy. Ewa powiedziała kiedyś:

— Moja mama jest więcej mamą.

Nuna niesłusznie nazwała ją wtedy głupią. Ile ciepłej, matczynej tkliwości mieści się w schludnie i skromnie ubranej postaci matki Ewy.

Matka!

Nuna nigdy nie miała matki, miała natomiast mamusię, roześmianą, zawsze pięknie ubraną mamusię. Nuna miała ją kiedyś, kiedyś dawno, tak dawno, że czasem siłą trzeba sobie uprzytomnić, że zaledwie miesiąc, czy dwa temu,

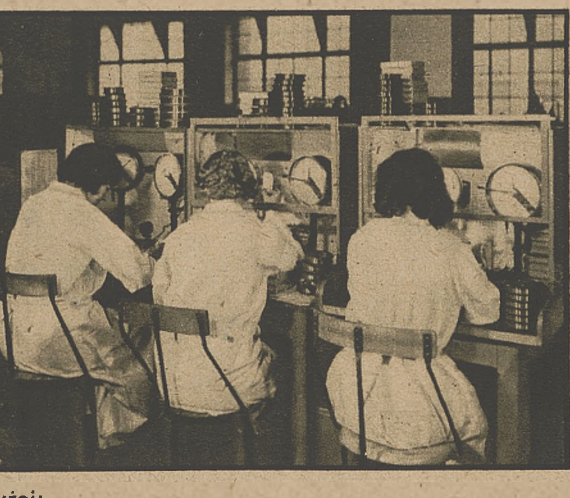
GDY ZABŁYSŁA PIERWSZA ŻARÓWKA...



Na lewo:
Pierwsza zbudowana przez Henryka Goebel elektryczna żarówka zrobiona była z... flaszeczki z perfum, bo nimi posługiwał się genialny odkrywca w braku technicznych przyborów i środków pomocniczych. „Osramówka", jakże różna kształtem od swego pierwowzoru!

Poniżej:
Hala fabryczna Twa „Osram", kędy w szczęku maszyn powstają najbardziej modernistyczne i najekonomiczniejsze żarówki, dające przy zużyciu minimum prądu, maksimum pięknego światła.

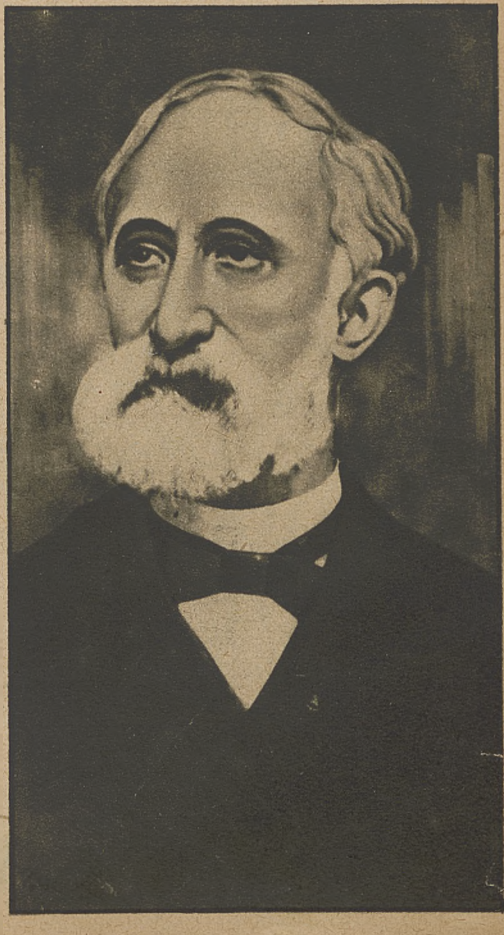




Powyżej:
Pomimo masowej produkcji, najwyższa precyzja wykonania cechuje będące w powszechnym obiegu żarówki. Tymi instrumentalnymi aparatami badanym jest drucik świetlny każdej pojedyńczej żarówki, osiągający ostatnio grubość zaledwie 500 000 części milimetra!

Na prawo:
Sława wynalazcy nie zawsze bywa udziałem niezmordowanego poszukiwacza nowych dróg i właściwego odkrywcy. Na lat 25 przed Edisonem wynalazł żarówkę Henryk Goebel ur. w r. 1818 w Hannowerskim, a odkrycie jego, zakrzyczane później amerykańską reklamą „cudów" edisonowskich było podstaw... ...ym w przemyśle elektrotechnicznym.

Fot. Atlantic



były miękkie, wypieszczone rączki, co bawiły się niedbale włosami Nuny.

Była kiedyś rozkoszna historia aniołka z obrazka w dziecinnym pokoju, który nagle przestał być aniołkiem...

Były kiedyś przepyszne, jasne włosy, którym w blasku sprostać nie mogła fałszywie złota tabliczka na drzwiach...

Był słodki zapach mamusi, który lgnął do klap męskiego ubrania...

Było kiedyś...

Nie wróci! I nie trzeba, żeby wróciło! Co za sens żyć kłamstwem! A kłamstwem była ta cała „mamusia"! Kłamstwem jej niewinne oczy, pieszczoty, kłamstwem całe życie!

Dusi coś Nunę w gardle. Konfitury nabierają gorzkiego, cierpkiego smaku. Wyrywa ją z zadumy drżący ciekawością głos pani aptekarzowej:

— Gdzie właściwie teraz jest twoja mamusia?

Nuna marszczy niechętnie czoło.

— Przecież pani wie, mamusia jest na kuracji. Pojechała odpocząć do Włoch.

Pani aptekarzowa wzdycha ciężko:

— Biedne, biedne dziecko!

— Dlaczego nazywa mnie pani „biednym dzieckiem"? Jest mi bardzo dobrze! Mam dużo zabawek, sukienek!

Nuna śmieje się ironicznie w duchu do własnych słów, ale mówi z dobrze udanym przekonaniem:

— Może pojadę odwiedzić mamusię!

— Tak?! Więc sąd przyzna cię jednak matce?

Nuna gwałtownie odsuwa krzesełko. Zatrząsł się oburzeniem mały stolik dzielący ją od wielkiej, rozlanej aptekarskiej osoby. Gęsta, wiśniowa ciecz wylewa się na biały obrus i toczy wolniutko... Oczy Nuny pałają gniewem.

Więc po to zaprosiła ją ta wstrętna wiedźma, by wyciągać z niej wszystko o mamusi, więc dlatego nakładała czubate porcje konfitur, chciała nimi kupić trochę nowinek!

Nuna ma wielką ochotę tłuc kryształowe talerzyki przed oniemiałymi oczyma aptekarzowej. Przypomina sobie nagle, co mówił o niej tatuś! Składa ironicznie usta i mówi drżącym głosem:

— Czy ja pytałam kiedy, gdzie uciekli przed panią dwaj poprzedni mężowie?!

Twarz aptekarzowej nabiera barwy rozlanej konfitury.

— Jakaś ty podobna teraz do swojej matki, mała żmijko!

— Mało jest kobiet tak pięknych, jak moja mamusia. Nigdy nie uda się pani być do niej choć kapkę podobną, zaraz poznać, że tleni sobie pani włosy!

Nie mogło być chyba lepszej zemsty, toteż Nuna odsapnęła z zadowoleniem i zrobiła skromny, pensjonarski dyg.

— Dziękuję bardzo! Niech pani już nigdy nie zaprasza mnie na konfitury!

Spokojnie, z godnością opuszczała progi aptekarskiej piękności. Smutek lśnił jej w oczach perłami gorzkich łez.

Mogła myśleć o mamusi sama wszystko, co chciała, mogła czuć do niej żal, ale nie wolno, żeby ktoś trzeci, zupełnie obcy ktoś śmiał rzucić cień na smutne, mamusine wspomnienie.

Bo mamusia jest już tylko wspomnieniem!

Wytworzyła się pewna granica, do której można wspominać mamusię, po za nią — trzeba zapomnieć!

W dniu, w którym Nuna zasłoniła przed niebezpieczeństwem drogą, najdroższą postać, umarła dawna mamusia i potem do łóżeczka obandażowanej, zgorączkowanej Nuny przyszła już obca, zimna pani i powiedziała w gniewie: „Jesteś złą, przewrotną dziewczyną!" — i odeszła w nowe życie, które już nigdy nie będzie życiem Nuny.

I to już był koniec...

Pozostała tylko mała, nieznaczna blizna na szczupłym, kościstym ramieniu i trochę zamętu w niedoświadczonej głowie.

Z początku było bardzo źle. Z początku chciało się rzucić pod koła pociągu uwożącego mamusię z panem Maksem.

Z początku szarpało się nerwowo puchową kołderkę i biały bandaż krępujący ramię.

Z początku były bezsenne, łkające noce, a potem Nuna zamknęła zmęczone, zaczerwienione powieki i zasnęła.

Człowiek może się martwić tylko do pewnego stopnia, potem przychodzi otępienie, znieczulenie.

U Nuny nastąpiło to prędzej, bo była jeszcze bardzo młoda. Zabrakło oczom łez i pewnego dnia spostrzegła, że słońce jak dawniej świeci, że pozornie nic się nie zmieniło!

Zdjęła wtedy obrazek ślicznego aniołka z różowej ściany swojego pokoju i schowała głęboko na dno szuflady. Zacisnęła mocno pięści i wyszeptała zimnymi wargami:

— Umarła mi mamusia! Nie byłam na pogrzebie, bo leżałam chora, nie noszę żałoby, bo żałobę nosić trzeba tylko w sercu.

I Nuna tęskniła do matki, jak tęskni się do kogoś dawno umarłego. Chodziła po mieszkaniu i myślała spokojnie bez uniesień:

— Jak żyła mamusia...

Miała poważną rozmowę z ciocią Martą. Siedziały blisko siebie, wtulone w kanapę i głos cioci mówił łagodnie ważne słowa:

— Twoja matka zrobiła źle, Nuno, ale nie można nigdy nikogo potępiać. Była młoda, ładna, a twój ojciec ciągle zajęty był pracą, ja wiem, to jej nie tłumaczy... Widzisz, Nuno, tu leży wielka różnica między mężczyzną i kobietą, że kobieta nie potrafi rozdwoić się w miłości, nie potrafi zdradzając zachować w równowadze stanowiska żony i matki. Mężczyzna nie wkłada w miłość tyle serca. Zdradza, ale przeważnie nie opuszcza żony, nie zmienia się w stosunku do dziecka. Gdy przeminie chwilowe uczucie, wraca i może być najlepszym mężem, w jego psychice nie zostaje tyle śladów przeżytych miłości...

Dalszy ciąg nastąpi

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 353-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 220-61 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

KOT KLAUDYNKI

GUSTAW MOTYKA

Teraz znowu autobus. Tuż pod oknami jest przystanek i za każdym razem, gdy wóz zaczyna hamować, rozlega się potworny dźwięk — coś pośredniego między skrzekiem rozszarpywanej żaby a nieopanowanym wybuchem rozpaczy; zawodzenie tak namiętne, z jakim szaleńcy objawiają swe widzenia świata.

Dźwięk ten nie atakuje nagle, znienacka — o, nie! Już od zakrętu ulicy Brudnej słychać, jak rośnie nerwowy, zdyszany oddech motoru. Potem zjawia się delikatny pisk — to żałośnie syczą wstrzymywane koła, jak gdyby rozpalone zanurzyły się w zimny strumień asfaltu. Syk staje się coraz głośniejszy, coraz bardziej rozrasta się i wreszcie zmienia w jęk ciągły, bolesny, falujący, a w końcu w ów skrzek, w charkot tak głośny i przeraźliwy, że gołębie czule gruchające na występach futryn okiennych raptownie zrywają się, bijąc spłoszonymi skrzydłami. Pudło, napełnione galaretowatą masą ludzkich ciał, jeszcze dygoce ze zmęczenia, ale już dzwonek podrywa je niczym śmignięcie batem spasione, czerwone zwierzę — i autobus rusza z miejsca leniwie, ociężale, niechętnie.

Właśnie przystanął. Dłonie Barczykowi zaciskają się w pięści. Siwy, kwadratowy łeb, podobny do wielkiego guza z wiechciem białych włosów na czubku, pochyla się na pierś nerwowym ruchem człowieka, który przezwycięża uderzenie w kark. Trwa to długą chwilę zanim Barczyk wraca do siebie. Wtedy, westchnąwszy z ulgą, nienawistnym wzrokiem śledzi przez szybę odjeżdżające brzękliwe pudło. Machinalnie wyciera suchą, pomarszczoną twarz połą firanki. Oddech z trudem nabiera spokoju.

O, Barczyk nie lubi tego miasta — krzykliwej menażerii. Ile razy przyjedzie ze wsi, zdaje mu się, jakby go zamknięto między oszalałymi z wściekłości małpami. Wrzask, wycie, skowyt, jęki — wszystkie odgłosy drażnią. Ucho, pamiętające cichy szept nadpływającego na wieś zmierzchu, znieść nie może gardłowego bełkotu wielkiego miasta. Powiedźcie, dlaczego ludzie, tutaj żyjący, nie modlą się o ciszę ... Czyżby skazani zostali na piekło za życia? To wyjaśniałoby tę zadziwiającą niewrażliwość ludzką na miejską kakofonię, owo pogodzenie się z losem, rezygnację z takich modlitw. W piekle nikt się nie modli — byłoby to nawet bluźnierstwo. Więc nic innego nieszczęsnym nie pozostało, jak żyć tu gdzie ich surowy los zepchnął, jeździć autobusami, które wyją jak żywe zwierzęta, przemykać się przez czarne korytarze ulic. Straszna egzystencja.

A na wsi — jakże inaczej! Tu ziemi nie ma — asfalt, bruk. A tam pachnie trawa i rzeka i słońce. Przypływ wieczoru daje, błogosławieństwo snu, a nie gorączkowe halucynacje. Przypływ dnia wynosi cię na powierzchnię świeżym, jakbyś od dziś dopiero żył. A tu wstajesz z goryczą w ustach, oczy zaropiałe, piecze w gardle. Rozcierasz sztywny kark i zbierasz się, aby pójść do łazienki, gdy naraz — ciemnieje w oczach. Wreszcie zwlekasz się ciężko, aby cały dzień tłuc się jak ćma od okna do okna, a przy każdym najsłabszym wysiłku chlupie w głowie piekący ból. Stanowczo — Barczyk nie myli się — miasto nie dla niego.

— A może by pan do parku poszedł? — proponuje Marcysia, służąca. Ponieważ stary milczy, więc odchodzi, klapiąc pantoflami. Jeszcze na progu ogląda się za tym dziwakiem ze wsi i wzrusza pogardliwie ramionami — też!

Do parku ... — Pewnie, że głowa marzy o ucieczce z dusznej klatki pokoju, ale starcze nogi buntują się i nie chcą ponieść „zwłok". Najlepiej będzie, gdy wreszcie zdecyduje się ta sprawa sprzedaży lasu i powróci do siebie, na wieś.

Właściwie on-Barczyk od razu powiedział — nie. Las — to jest las, nie służy do handlu, nie po to rośnie, by go kiedyś wzamian za jakieś papierzyska stracić. Ale Klaudynka ... Zupełnie ją mąż przerobił. Razem tak namawiają — żeby sprzedać. Dzień w dzień to samo, a jemu już sił brak do dalszej walki.

— Dobrze — powiedział córce — pojadę. Tylko już spokój się ...

A do zięcia — przyprowadź kupców.

Wciąga powietrze nosem i krzywi się: śmierdzi. Dym z papierosów, mole, pluskwy, asfalt, kurz, stęchlizna, pot ... — wszystko razem. A tam jak pachnie — żebyście wiedzieli, jak pachnie! Uśmiecha się na samo przypomnienie.

W nagłym przypływie tęsknoty i żalu podchodzi do okna. Pozostało mu jeszcze trochę zieleni wątłych, niedorozwiniętych drzew, które na spieczoną, niczym żużel, ulicę cudem chyba zabłądziły, albo pokutę tu odprawiają za grzechy ludziom niewiadome. Stary przysuwa krzesło do okna, czoło opiera o szybę i tak siedzi, tak potrafi przedumać wiele godzin swojego dwudniowego pobytu u zięcia. Nasyca się obserwacją, podobny widzowi w teatrze. Tylko każdorazowy autobus formalnie przechorowuje najboleśniej w świecie.

Naraz drgnął. Marcysia pobiegła już do drzwi. Dzwonek na froncie po raz drugi zabrzmiał tak przeraźliwie, jak gdyby mu okrutna ręka niesłychany ból sprawiła tym powtórnym, nerwowym szarpnięciem. Słychać już głosy w przedpokoju; z łatwością rozróżnił szybki sposób mówienia zięcia — niezrozumiały bełkot ugrzecznionych słów. Zrobiło mu się nieprzyjemnie i smutek opanował jego serce — to na pewno kupcy w sprawie lasu, miał to dzisiaj załatwić ostatecznie. Podniósł się niechętnie i podszedł do stołu, wygładzając dłońmi marynarkę. Ręce miał spocone, a przecież trzeba będzie przywitać się z nimi. No, trudno.

Zięć był człowiekiem wysokim i chudym. Wszedł, sztywno wyprostowany jak zwykle, ustępując w wejściu pierwszeństwa dwom panom o kwadratowych, kanciastych figurach. Jeden z nich ściskał pod pachą masywną teczkę ze świńskiej skóry o kilku zamkach — niemal kasa pancerna. Rozglądał się wokoło podejrzliwie, jakby w obawie, że mu ją wydrą. Nawet, gdy już usadowił się na podsuniętym uprzejmie krześle, przez pewien czas nie wypuszczał teczki z rąk, dopiero później — widocznie atmosfera słodkich słów zięcia wydała mu się bezpieczna — położył ją przed sobą na stole. Lecz i wtedy jego rozbiegane chytre spojrzenie co chwila zatrzymywało się na lśniących okuciach, niczym w miłosnej pieszczocie. — Przedstawił się jako rejent Zawilski.

I do drugiego z przybyłych Barczyk z miejsca poczuł niechęć. Płaska, szeroka twarz o grubych workach pod oczami wydała mu się w pierwszej chwili znajoma, lecz później zrozumiał, że tego człowieka na pewno nigdy jeszcze nie spotkał, bo uczucie silnej awersji było świeże, nie wtórne jak echo. Pan Laskowski miał ciężkie, mięsiste ręce rzeźnika, gruby sfałdowany kark, a całe olbrzymie ciało przelewało się chybotliwie na słabym trzeszczącym krześle, gdy przechylał się w stronę swego rozmówcy w grzecznej wymianie zdań o cenach mięsa i słoniny, o upale itp., co było naturalnym wstępem do interesu. Barczyk tylko pomrukiwał, przyglądając się wszystkiemu spod przymrużonych powiek.

— Facet ma las w nazwisku — pomyślał nagle i uśmiechnął się. — Niech mu to wystarczy, bo mojego nie dostanie.

To nieodwołalne postanowienie, ta raptowna decyzja natchnęła go taką radością, że pełnym wesołym spojrzeniem ogarnął obie twarze i zaraził je niefrasobliwą pogodą — rozciągnęły się w dobrotliwych uśmiechach. Nie bez złośliwości spostrzegł, że i zięć się rozpogodził. O, Barczyk rozumie to zadowolenie. Myśli, że stary wariat wreszcie gotów na wszystko — więc cieszy się. Ale poczekaj! Spoza okularów łyska na Barczyka raz za razem wzrok pełen fałszywej dobroci, a blade wąskie dłonie, których wilgotny uścisk wzbudza w Barczyku gwałtowny wstręt, splatają się i rozplatają mechanicznie.

Rejent wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki chusteczkę w niebieskie paski i wytarł nią starannie czoło. Pan Laskowski ochrypłe opowiadał teraz jakąś anegdotkę o słomianym wdowcu, którego nakryła wracająca do miasta żonka. Śmiał się — jakby mu w gardle bulgotała gotująca się woda. Wydobył papierośnicę z kieszeni i częstował wszystkich. Gdy podawał ją Barczykowi, ręka mu drżała.

— Nie palę, dziękuję — powiedział stary spokojnie. Poprawił się na krześle. No, moi panowie — pomyślał — dosyć tego. Ale milczał nadal, czekając aż zięć rozpocznie. Jeżeli interes nie dojdzie do skutku ,to nie z jego — Barczyka winy, o nie! Po prostu kupcy nie odpowiedni będą, tanio sprzedać nie sztuka ... On zaś będzie w porządku, żeby znowu mu zięć nie gadał jak w ubiegłym tygodniu. Dobrze, dobrze — damy sobie radę.

Zięć grzecznie wtórował wesołości panów, których rozruszała pieprzna historyjka. Niespokojnie zerkał na twarz starego. Och, żeby się tylko znowu nie rozmyślił, jak ostatnio ... Pieniądze, psiakrew, potrzebne, a on kluczy, kręci, odwleka . . . Bóg wie co już nie zrobiłby, żeby tylko lasu nie sprzedać. Móc go zahypnotyzować, o — westchnął. — Ale co mu jest?

Nie od razu wszystko zrozumiał, a później było to zbyteczne. Skądże mógł domyśleć się, że to kot stał się powodem nagłych niespokojnych ruchów teścia; skądże miał wiedzieć, że w tym momencie Barczyk poczuł jak coś miękkiego ociera się o jego stopy — a owe drgania niemal już chorobliwych rozmiarów z tych właśnie są powodów. Obydwaj panowie również coś zauważyli w zachowaniu się Barczyka, bo spojrzeli na niego równocześnie i uśmiechnęli się do siebie. A może stary zbzikował? — pomyślał o nim zięć. W tym wieku to jest możliwe.

Barczyk trząsł się z obrzydzenia. Próbował gwałtownymi ruchami nóg pod stołem odegnać nieszczęsne stworzenie od siebie, lecz nadaremnie. Cały tak cudownie zbudowany spokój zawalił się w nim, pozostawiając po sobie smutek. Znowu fale smutku. Dlaczego Klaudynka lubi tak bardzo tego kota — nie rozumie. Właśnie w tej chwili wydaje mu się to najbardziej dziwne, gdy tak z niepokojem wyczuwa ciche ruchy zwierzęcia. On nie znosi, nienawidzi tej wstrętnej istoty, ocierającej się z lubością o wszystko, co napotka. Inni — Klaudynka, córka, choćby — widzą w kocie uosobienie nadzwyczajnych jakichś zalet, gdy właściwie jest to tylko zwierzę, obdarzone — nadmierną w stosunku do całości — dozą erotyzmu. A Barczyk odczuwa obok wstrętu lęk jeszcze, lęk nawet zabobonny. To prawda! Wierzy głęboko, że kocim krokiem okrąża nas zło, kocim wzrokiem wypatruje w nas chwilę, gdy może rzucić się człowiekowi do gardła, kocią miękkością zwodzi, aby tym niespodziewaniej uderzyć tak twardo jak zbrodniarz, który posługuje się nożem.

Stary trząsł się niby w dreszczach gorączki, ku zdziwieniu wszystkich niespokojnie kręcąc się na krześle. Aż wreszcie nie mógł tego znieść: podniósł się, aby zawołać Marcysię — niech zabierze to przeklęte bydlę do kuchni.

Lecz w tej chwili stało się coś takiego, co Barczyka najprzód zadziwiło niezmiernie, a później wywołało paroksyzm śmiechu, od którego oczy aż łzami nabiegły. Oto pan Laskowski nagle zerwał się z krzesła, gruby, czerwony z przerażenia. Wymachiwał gwałtownie krótkimi ramionami, przestępował z nogi na nogę, porykując bezradnie. Najwidoczniej nie umiał sobie poradzić, kot Klaudynki zaś uczepił się jego spodni i z zapamiętaniem gryzł kostkę wielkiej, ciężkiej nogi. Zrzucony jednym uderzeniem potężnej dłoni, czepiał się znowu, operując dla odmiany drugą kostkę, wciąż niebaczny na wściekłe przekleństwa ofiary.

Stary zaśmiewał się cichutko, serdecznie. Już nie pamięta, aby tak kiedykolwiek się śmiał.

— Ach, Boże — jaki kochany ten kotek, trzymajcie mnie, bo skonam! ...

Zięć niezdarnie skacze wokoło dręczonego i pieje dyszkantem. Głos mu się z rozpaczy zmienił, biedakowi — a może to wsteczny rozwój? — Co ten kotek potrafi! ... Pan Laskowski szamocze się z milutkim już w przedpokoju. Pan rejent teczkę unosi ze sobą jak świętość, do piersi ją przyciskając i biegnie za mocodawcą, ale na progu przedpokoju przystaje niepewnie i zrozumiale zatroskany: nie wie przecież, czy ta okrutna bestia nie skoczy jemu do gardła. Jak żyje nie widział jeszcze wściekłych kotów.

Zięć, jąkając się i krzycząc na kota, uniżenie przeprasza torturowanego gościa, ale to nic nie pomaga. W przedpokoju burza szaleje nadal, sypią się przekleństwa, upadło krzesło na podłogę. Wreszcie raz na razem trzaskają frontowe drzwi i — cisza. Nagle cisza.

No, tak. Przyszli — poszli. Czyżby i zięć z nimi? Nie, pozostał. Gdy wszedł z powrotem, blady był i roztrzęsiony, jakby widmo przed chwilą obejmował. Stanął twarzą do okna i milcząc dusił w sobie wściekłość.

Barczyk palcami ścierał z oczu łzy śmiechu. Ale to dostanie się Marcysi! — zapomniała, że kot Klaudynki nie lubi obcych zapachów. Widocznie pan Laskowski bardzo się pocił. Stary z czułością prowadził wzrokiem ciemny kształt, ostrożnie, chyłkiem przemykający się pod kozetkę.

Podniósł się ociężały, objedzony widowiskiem. I powiedział spokojnie ot tak sobie, do nikogo, westchnąwszy nawet z fałszywym ubolewaniem.

— Więc sprawa lasu skończona ...

Przeszedł do kuchni, aby zawiadomić Marcysię, że dzisiaj jeszcze wyjedzie. Prędzej, byle prędzej na wieś! Pomyślał, że kotka również weźmie. Raz — że Klaudynka ucieszy się, bo go bardzo lubi; po drugie — zięć mógłby mu coś złego zrobić, a temu trzeba zapobiec. No i wreszcie kotkowi to się należy, w nagrodę choćby. Bohater.

Napisała Lena-Len

DANCING

(24 godziny)

1.

FOXTROTT

W rytmicznym ruchu na parkiecie jezdni wirują bezustannie przechodnie. Takt wybijają miejskie zegary, ksylofon tramwaju komponuje melodie nieuchwytne, dzwonki roweru układają refrain: dzień, dzień, dzień ...

I stepują piękne panie na równo ułożonych kostkach kamiennych. Z daleka słychać uderzenia zgrabnych nóg w specjalnych pantofelkach na drewnianej podeszwie, przeciętej dwa razy. Fox-trott, fox-trott — w tył, naprzód, w bok. Klarnet syreny samochodu przyspiesza tempo, zwiększa tupot. Krok w krok, krok w krok. Lekko, elastycznie, miarowo, ciszej, głośniej, spokojnie, gwałtowniej, w szalonym kołowrocie — byleby przejść jak najszybciej.

Najsilniejszy reflektor słońca razi, wdziera się w źrenicę, na chwilę przesłania prawdę. Widzimy roztańczony tłum — foxtrott miasta. Turkot, stukot, huk-jazz nowoczesny, doskonały, oryginalny, silny pracą mięśni ludzi i maszyn, nóg i kół. Podkowy koni dudnią ... Dźwięki urywane szybują w przestrzeni: pójdę, wrócę, czekam, wiem, kto? jak? kiedy? może? lato!

Gwizd przeciągły. Policjant ogłasza przerwę. Ruch zamiera na jedną minutę. I znowu! Pałeczka w górę. Dyrygent ulicy dał znak. Foxtrott! Jazz, takt, dźwięk, rytm, krzyk dnia!!!

2.

TANGO

Dotykam lekko. Dłonie pieszczą maleńkie, bielutkie korale, kołyszące się na jedwabnych, cieniutkich niteczkach: konwalie. Otulam je szczelnie płaszczem zielonych, ciepłych liści (kryształowy klosz jest zimny). Kwiaty drżą. Jeszcze godzinę temu śmiały się do mnie z klombu ogrodu. Zerwałam je gorące słońcem. Ostygły, nikną w oczach omdlałe. Czerwona kula zatoczyła krąg, ucieka z horyzontu — słońce zachodzi.

W oczekiwaniu samotnej nocy giną z tęsknoty kwiaty maleńkie, nikłe, drobne jak sny dziewczęce, zapowiadające mrok, gwiazdy i pierwsze pocałunki.

Kwiaty tęsknią. Ja też! Kwiaty giną z tęsknoty. Ja chcę żyć! Zbliża się wieczór. Przyjdź o godzinie dziesiątej! Przytul mnie delikatnie, czekam! i czeka park — i czeka las — i kłosy młodziutkie na polach ...

Owady potrącają leciutko struny traw — brzęczą — zielona mandolina rozbrzmiewa dokoła — i wabi dźwiękiem urywanym, obiecującym noc. Chór ptaków akompaniuje piano i tylko od czasu do czasu wystąpi solista; koloratura słowika czaruje i niknie w zagadce mroku. Harmonią-akordeonem staje się stary las o niezliczonej ilości wiolinów w szeleście najmłodszych jesionów i studwudziestu basach szumu najstarszych, tysiącletnich dębów.

Melancholijnie, sentymentalnie nastraja tango „Tęsknota popołudnia".

Ostatni akord wita władczynię. Zabłysła pierwsza gwiazdka.

3.

WALC

Lśnią złoto-zielone robaczki, maleńkie gwiazdki na ziemi. Stroją przecudnie balową suknię królowej, granatową, aksamitną ...

Najpiękniejsza pani świata — noc — tańczy. Upaja ją melodia fal mórz i oceanów ... otchłani powietrza.

Powiewna tancerka unosi czar, wabi spojrzeniem oczu olbrzymich — przepastnych, zastawia sidła w słowach namiętnych, gorących, żarem oddechu rozpala skronie, tętno uderza niespokojnie ...

Czeka się na jej skinienie godzinami ... dnia.

Przychodzi, porywa w tan. Walc!!!

W kręgu milionów istot żyjących tańczą ludzie. Bezwolnie poddają się zawrotnej sile, w oszołomieniu szukają spełnienia tęsknoty nienasyconej, palącej. Nerwowo zaciskają palce w uściskach, rozdzierają bezlitośnie tajemnice, zamykają w mocnych ramionach tętniące serca, dzwony bijące na zew rozkwitu. Bojaźliwie skurczone prężą się wszystkie tkanki w napięciu najradośniejszym spotkania. Rozchylone usta proszą ... ktoś wargi gryzie do krwi. — Dojrzały!

Zmysły gorączkowo zaspokajają głód, połykają olbrzymimi kęsami chciwie — piją bez opamiętania jednym haustem kielichy, wypełnione po brzegi rozkoszą — krótko — lśniącą jak . . . robaczki świętojańskie na sukni nocy . . .

4.

MIŁOŚĆ!

Rozpędziły się motyle, zatrzepotały skrzydełkami, wpadły na siebie z impetem, otarły pyszczek o pyszczek — pocałowały się przypadkowo.

Motyl starszy chciał powiedzieć: przepraszam, ale czuł jeszcze pocałunek sprzed sekundy i pomylił się, krzyknął w locie: kocham.

Mniejszy motylek chciwie połknął wyznanie, wytrzeszczył czarne oczęta i poleciał jak opętany za nowym znajomym.

W noc letnią ułożyły się do snu razem — a nad ranem starszy chuchnął, starszy dmuchnął — skrzydełka młodszego były słabiutkie, złamały się za podmuchem, rozwiały, zamieniły w pyłek, utonęły w powietrzu ...



Powiedz: — W ogień skocz Papkinie,
a, twój Papkin w ogniu zginie!
(„Zemsta" — Fredro)

1.

„Szesnastoletnim zbliżyć się pozwólcie licom" — powiedział Juliusz Słowacki. Adam Mickiewicz zgadza się w tej mierze z autorem Kordiana. Nie tylko powtarza za Schillerem, że *„pocałunek to jest nektar boski"*, lecz całowanie się uważa za probierz mądrości. *„Ten się do mędrców liczy* — woła wieszcz do młodzieży w Pieśni Filaretów — *kto pierwiastek słodyczy z lubych wysączył ust"*. Młodym dziewczętom dał zaś jak wiadomo na długo przed Mickiewiczem nie kto inny jak czcigodny śpiewak Psalmów i proboszcz poznański Jan Kochanowski następującą szczerą i roztropną radę:

„Daj, czegoć nie ubędzie, byś najwięcej dała.
Daj, czego potem próżno dawać będziesz chciała".

Nie trudno pojąć, że słowa te między innymi odnoszą się też i do całusów. Ponieważ zaś literatura głosi prawdy wieczne i idee wzniosłe, które rychło upowszechniają się w społeczeństwie, nic dziwnego, że w końcu maja, kiedy bzy kwitły na ziemi a na niebie wschodził księżyc złocisty, Zbyś pocałował Krysię.

A Krysia? Krysia się nie wyrywała. „Ząb za ząb, oko za oko", powiada Pismo Święte, a skoro „oko za oko", to i całus za całus! Któż to powiedział, że najważniejsze rozkazanie, iżbyśmy się społecznie miłowali? Acha: Ksiądz Piotr Skarga! Nie wiem, czy Krysia Skargę znała, w każdym razie gdy tarcza księżyca wzniosła się o pół stopnia ponad horyzont, z zapałem całowali się już społecznie. Faktem też jest, że w trzy minuty później poprzysięgli sobie miłość wieczystą.

— Ja jestem twoja, twojsza, najtwojsza — szczebiotała panienka jak z nut, mimo, że nie czytała Przybyszewskiego. Albowiem nie tylko idee głoszone przez pisarzy, ale nawet nasze słowa stają się z czasem, nie wiedzieć jak, własnością ogółu. Inni ludzie, to tylko nagrany przez nas gramofon.

— Ta Prze Bóg miły, tyś duszą mojej duszy, Kryśka — rozsłowiczał się chłopiec, nie zdając sobie sprawy, że powtarza Litwosa. I było im z sobą dobrze, i było im słodko, i szczęśliwi byli, jak w niebie, i byliby się całowali jeszcze dłużej, gdyby po kwadransie nie zaczęli byli się kłócić.

Pokłócili się zaś, naturalnie o to, które które bardziej kocha.

— Krzysiu, nie wmawiaj. Tak mocno kochać, jak ja ciebie kocham, ty nie potrafisz.

— Kłamiesz! Ja ciebie kocham sto razy mocniej!

— Głupstwa pleciesz. Tak mocno, jak ja ciebie, nie kochał jeszcze nikt nikogo. Droższaś mi nad ziemię, słońce i życie. Dla ciebie w ogień bym skoczył.

— Każdy tak gada...

— Każdy? Jaki każdy? Krzyśka, mów, kto!

— Zaraz, zaraz, niechże sobie przypomnę. Papkin? Nie, nie Papkin...



— Papkin!! — zawołał młodzian z obłędem w oczach: — Papkin?? Toś ty się już z jakimś Papkinem zadawała? Mów, kto to ten Papkin!

— Ależ, Papkina znasz chyba. Zresztą to wcale nie jego słowa...

— Nie kłam. Serce mi mówi, że jego. Gore! Gore! Gore jemu i mnie. Zabiję!!

Zanim oprzytomniała, była już sama. Chłopiec biegł wielkimi krokami w stronę swej willi. Zrobiło się jej smutno. Wzruszyła ramionami i poszła w stronę domu bardzo powoli.

2.

Leżałem już w łóżku, kiedy do mego pokoju wpadł Zbyszek.

— Bardzo pana przepraszam, lecz w domu nie ma nikogo, a muszę natychmiast o coś zapytać. Kwestia honoru.

Spojrzałem na chłopca z uśmiechem. Znałem go nie od dziś. Jako przyjaciel jego ojca, spędzałem u nich od lat swe urlopy.

— Niech pan pyta, panie Zbysiu.

Trudno mu było zacząć.

Pan, panie doktorze, jest człowiekiem honoru!

Usiadłem na łóżku. Cóż u djabła? Dwukrotne akcentowanie słowa „honor" brzmiało niepokojąco. Chyba, że ten chłopiec przegrał z dziesięć złotych na słowo honoru i że zamierza je sobie u mnie pożyczyć.

— Sądzę, że jestem człowiekiem honoru — mówię nieco uspokojony. — Może pan, panie Zbyszku, mówić ze mną całkiem szczerze.

— Jest pan żonaty, panie doktorze — zaczął chłopiec głosem ponurym. — Co by pan zrobił, gdyby pan po powrocie do domu znalazł się wobec dowodów, iż inny mężczyzna targnął się na cześć pańskiej żony, że ją pokalał, że ją shańbił!

— Wyzwałbym go na pojedynek i zastrzelił jak psa — zawołałem. Ale czemu pan o to pyta?

— Tak sobie... Czy każdy każdego może wyzwać na pojedynek, panie doktorze?

Byłem zirytowany.

— Nie, panie Zbyszku. Pan, na przykład, nie mógłby nikogo wyzwać, ponieważ pan nie ma jeszcze matury.

Zagryzł usta i milczał chwilę. Zaczął z innej beczki:

— Panie, czy pan kiedy słyszał nazwisko Papkin?

Głos jego był tak tragiczny, że omal nie parsknąłem śmiechem.

— Ależ naturalnie.

— Co to za gość?

— Taki sobie miły hochsztapler. Może Francuz, a może tylko udaje Francuza. Kochliwy, natarczywy wobec dziewcząt, łgarz, udający milionera, świetnego strzelca, nieustraszonego szermierza. W rzeczywistości tchórz i człowiek biedny. Przy tym wszystkim bardzo sympatyczna dusza. Figura komiczna...

— Nie, nie komiczna... Tragiczna!! — krzyknął z przekonaniem.

Spojrzałem na chłopca spod oka:

— Przypuśćmy, że może być i tak...

Chłopiec żuje .długo w ustach nowe pytanie.

— Gdzie on mieszka?

— Gdzie mieszka Papkin? — pytam, bo uszom nie wierzę.

— Właśnie! Ja muszę mieć jego adres. W książce telefonicznej go nie ma.

Nie znam zresztą imienia.

— Józef, syn Jana. Niestety, jego adresu nawet i w biurze meldunkowym pan, panie Zbyszku, nie znajdzie — oświadczyłem tonem równie poważnym. — Pan Papkin, jako osoba ponadrealna, nie podlega przepisom meldunkowym.

Potoczył błędnie oczyma.

— Ach, w takim razie . . .

I już, jak wpadł, tak i wypada, strzelając drzwiami na dodatek.

— Zbysiu!! Co się z tobą stało, grzeczne dziecię?

3.

O północy zbudzono mnie znowu. Tym razem wpadli do mnie jego rodzice. Matka nie mogła wykrztusić ani słówka, ojciec stylem telegraficznym poinformował mnie o stanie rzeczy:

— Zbycha nie ma. Zostawił ten list. Boję się, że . . .

Spojrzałem na kartkę zapisaną drżącym pismem i bez tego trudno czytelnym. Wystarczyły mi dwa pierwsze zdania:

— *„Odchodzę od Was na wieki. Przepraszam (sic!), że wziąłem rewolwer pana doktora. Chonor...*



Natychmiast byłem na nogach. Nie zasznurowywałem bucików.

— Należy go szukać. Ważna każda sekunda!! Zamiar samobójstwa...

— W domu go nie ma...

— Więc do ogrodu!

Na pidżamę narzuciłem w przedpokoju zarzutkę. Wybiegliśmy, pozostawiając za sobą spazmatyczny krzyk pani. W ogrodzie otoczyła nas cisza. Księżyc w pełni świecił jasno. Jednym rzutem oka objąć można było całe powierzchnie trawników. Na ścieżkach tak ostro rysowało się każde ziarnko żwiru, że dostrzegłbyś wśród nich i szpilkę. Na rabatach widać było nie tylko każdy kwiat i liść każdy, ale nawet każdą nie opadłą z nich jeszcze kroplę wody po niedawnym deszczyku. Za to pod drzewami i wśród krzewów bzów i jaśminów leżał cień czarny, nieprzebity. Ponieważ praktyka wykazuje, że niestety samobójców szukać należy właśnie po zapadłych, trudno dostępnych ustroniach, sięgam do kieszeni po elektryczną latarkę...

— Sięgam i czuję, że w zarzutce są też i patrony!

— Janie, — mówię do przyjaciela — głowa do góry! — nie musimy zbytnio się śpieszyć. Wziął rewolwer wyładowany, naboje zostawił!

Ślady stóp na piasku wskazały nam kierunek. Znaleźliśmy też i dziurę w oparkanieniu. Cicho, jak złodzieje, wgłębiliśmy się w gąszcz bzów na terenie willi sąsiada. Na ławeczce leżał mój rewolwer. Koło altanki obok śladów chłopca wiły się odciski nóżek znacznie mniejszych, równie świeże. Księżyc złociście świecił, słowik nucił gdzieś po drugiej stronie ogrodu, zaś przez krzewy płynął ku nam ciepły poszept dziewczęcy:

— Zbych, nie! Miej litość, nie tak mocno!... Przecież dobrze wiesz, jabym chciała też, oddałabym ci wszystko.... ale...

Ojciec Zbyszka nastawił uszu.

— Co to??

— Nic. Dosłowny cytat ze „Słówek" Boya. Lanie możesz chłopcu urządzić w domu, lecz teraz pozwól im bawić się poezją. Raczej doczytajmy do końca „ostatni list" niedoszłego samobójcy:

Wspólnymi siłami odcyfrowaliśmy, co następuje:

— *„Chonor nakazuje mi nie przeżyć hańby. Zakochałem się w kobiecie, która już miała kochanka. Nie wińcie mnie, ani jej — wszystkiemu winiem Józef Papkin, syn Jana".*

KONIEC.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

„GO“ JAPOŃSKA GRA NARODOWA

Część 2.

Podane w poprzednim odcinku zasady można streścić:

1) Partnerzy stawiają naprzemian po jednym pionierze (osadniku) na dowolnym polu terenu, gdzie postawiony ma, lub przez zabicie uzyskuje co najmniej jedną swobodę.
2) Łańcuchy pionierów tworzą kolonie, których wartość równa się ilości wolnych pól, licząc za każde pole 1 punkt.

Niżej podajemy dalsze przepisy gry.

„KO“.

Biały pionier na g 15 jest otoczony przez 3 czarnych: f 15, g 14 i g 16. Czarny stawia na h 15 i zabija białego g 15. Wskutek tego pozycja się zmieniła i teraz czarny na h 15 jest otoczony z trzech stron. Biały mógłby go zabić i w ten sposób walka mogłaby się toczyć w tej pozycji aż do wyczerpania pionierów. Aby tego uniknąć zasada „Ko“ głosi:

3) **Jednego** pioniera, który zabił tylko **jednego** nie wolno zabić w bezpośrednio następującym stawianiu.

Stosownie do tego przepisu po Cz h 15(1) B musi najpierw stawiać w innej pozycji, po czym dopiero wolno mu bić przez B g 15(1). W międzyczasie jednak Cz może „zamknąć Ko“ przez zajęcie g 15, czym połączy pioniera h 15 z towarzyszami.

Po Cz b 1(1) białemu nie wolno zaraz bić B a 1(1) bo **jeden** czarny zabił **jednego** białego. Po Cz i 9(2) wolno grać B i 10(1) bo **jeden** czarny zabił **dwóch** białych. Po B c 7(1) Cz może bić d 7(4) bo, choć jeden biały zabił jednego, to Cz zabija **czterech**.

Zdobywanie i obrona kolonii

Nie wystarczy zbudowanie kolonii, trzeba ją jeszcze zabezpieczyć przed atakami przeciwnika, który może otoczyć i zdobyć atakiem z góry.

Tak np. Cz atakuje otoczoną kolonię białych przez zajęcie b 15. Biały bije przez a 15(1), ale wskutek tego białym zostaje tylko jedna swoboda, którą Cz natychmiast zajmuje i zabija wszystkich białych. Zasada Ko nie ma tu zastosowania. Licząc jeden punkt za zdobytego pioniera, Cz zyskał 7 punktów i 7 za wolne pola w kolonii — razem 14. Po odliczeniu straty na b 15 Cz uzyskuje 13 punktów. Z przykładu tego widać, że otoczona kolonia jedno- i dwupolowa jest stracona.

Kolonia, zawierająca 3 pola, jak przy a 11, jest warunkowo pewna. Istnienie jej zależy od tego, który z graczy zajmie wcześniej pole b 11. Gra może się rozwinąć w tej pozycji w sposób następujący:

Cz b 11, B c 11, Cz a 11(9); lub Cz b 11, B x (znak oznacza stawianie w innej pozycji) Cz c 11, B a 11(2), Cz b 11, B c 11(1), Cz b 11(10).

Jeżeli B zajmie wcześniej pole b 11, dzieli tym kolonię na dwa rejony, wskutek tego staje się ona zupełnie pewną. Cz nie może zająć równocześnie obydwu swobód a 11 i c 11 a na żadnym z tych pól nie wolno mu stawiać, bo postawiony pionier nie ma tam swobody.

Podobnie warunkowo pewną jest kolonia przy m 1, której istnienie zależy od zajęcia pola n 4. Jak widać kolonia ta jest wprawdzie podzielona na dwa rejony m 1 i m 3, jednak rejon m 3 jest „fałszywy“. Po stawianiu B n 4 Cz musi zamknąć go przez zajęcie m 3, wskutek tego zostaje mu tylko jedna swoboda i kolonia staje się łupem B.

Rejony w kolonii mogą być oddzielone łańcuchem pionierów jak np rejon przy t 15 łączy się łańcuchem z drugim rejonem q 9. Pola leżące między łańcuchem czarnych a znajdującą się tu kolonią B stanowią jeszcze teren walki.

4) Istnienie kolonii zależy od możliwości podzielenia jej na co najmniej dwa pewne rejony.

Dalsze przepisy zostaną omówione w następnym odcinku.

Zadanie 2.

Czarne stoją na: c 6, 7, 8, 9, 10, d 5, 6, 10, e 5, 10, f 5, 9, 10, g 5, 9, i 5, 9, k 5, 6, 7, 8, 9(24).

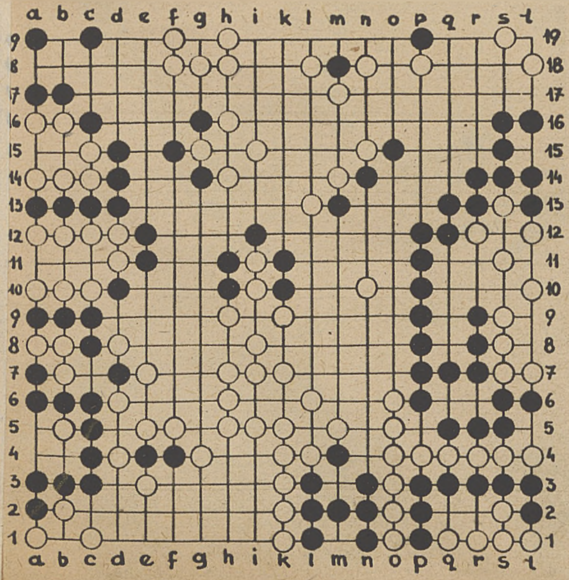
Białe: d 7, 8, e 6, 9, f 6, 8, g 6, 8, h 6, 8, i 6, 7, 8(13).

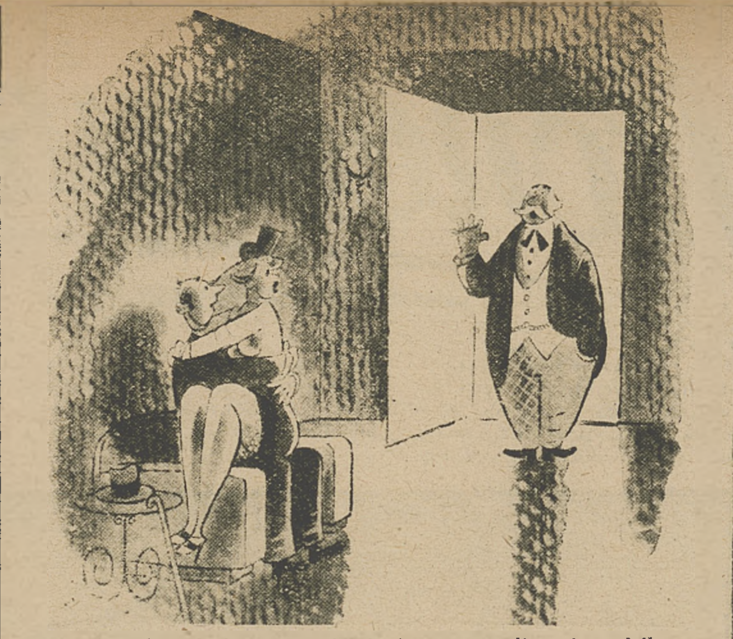
Jak mają stawiać Cz, aby nie pozwolić Białym na utworzenie dwóch pewnych rejonów i zdobyć wszystkich białych pionierów?

Ile punktów zdobywają tu Cz?

Za rozwiązanie tego zadania przeznacza się do rozlosowania broszurę o grze „Go“.

Termin nadsyłania rozwiązań do 1. września br.





— O, jaka szkoda, że wyście się już zapoznali, a ja sądziłem że będę miał przyjemność poznać pana z moją córką...

Münchner Illustrierte Presse

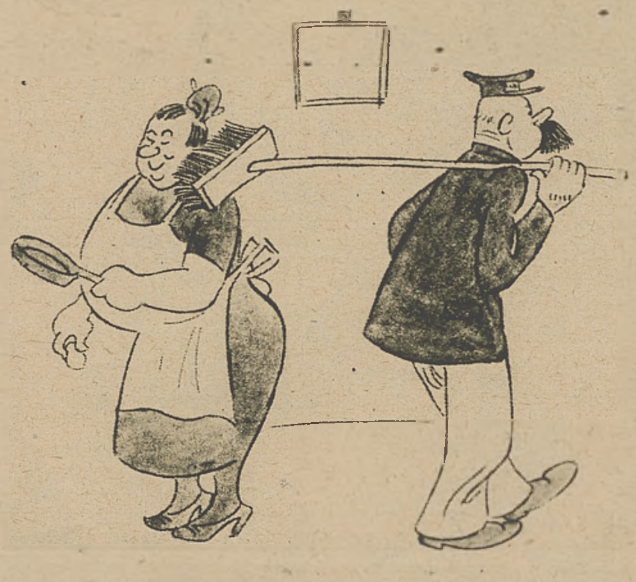
— Popatrz Emilu, jaki niezwykle szykowny kapelusik sobie sprawiłam. Odmładza mnie przynajmniej o dziesięć lat.
— Powinnaś w takim razie dwa takie kapelusiki sobie kupić, Otylio.

*

— Czy kochałabyś mnie Lizo bardziej, gdybym się pozbył wszystkich złych przyzwyczajeń?
— Ależ, Jerzy, jakżebym mogła wtedy pokochać całkiem sobie obcego człowieka.

*

Podróżnik zwiedzający Afrykę zwraca się do właściciela oberży z zapytaniem:
— Chętnie bym się w tej rzece ukąpał, gdybym tylko wiedział, że w tej wodzie nie ma rekinów.
Właściciel oberży: — Co do tego może być pan zupełnie spokojny.
Podróżnik: — Czy może pan za to ręczyć?
Właściciel oberży: — Oczywiście, bo tam gdzie są krokodyle, nigdy nie ma rekinów.



— Ależ, Jakubie, przecież już pocałowaliście mnie na pożegnanie...

Hamburger Illustrierte

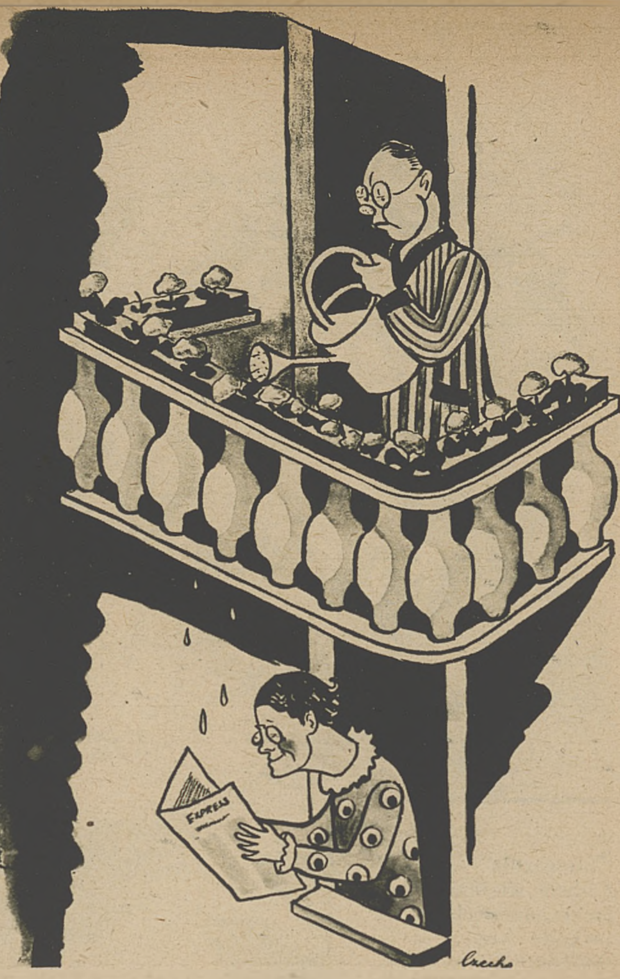
— Matka opowiadała swemu małemu synkowi o raju, jakto Ewę wyjął pan Bóg Adamowi z żebra. Na drugi dzień chłopak zjadłszy niedojrzałych owoców trzyma się za brzuch i wyje z boleści.
— Co ci to synku — pyta zaniepokojona matka.
— Ach, mamo, mnie tu tak boli okropnie, zdaje się, że ja dostanę żonę.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

— Znam ludzi, którzy całują zwierzęta.
— To przecież bardzo niehygieniczne.
— Dlaczego?
— W ten sposób można przenieść różne choroby.
— To prawda. W naszej rodzinie zdarzył się taki wypadek.
— Co pan mówi?
— Moja ciotka miała papugę, za którą przepadała. Razu pewnego pocałowała ją w nadmiarze uczuć w dzióbek. I na drugi dzień znaleźliśmy bez życia...
— Ciotkę?
— Nie, papugę.

*

Zirytowana matka mówi do córki:
— Znowuś dała kosza Arturowi? A przecież on powiedział, że bez ciebie żyć nie może!
— To inni też mówią, mamo.
— Być może, ale jest już chyba najwyższy czas, byś któremuś ze starających się o twoją rękę uratowała życie.



Pani z parteru: — A jednak przepowiednie pogody zawsze się sprawdzają:
— „Cały dzień słonecznie — wieczorem gwałtowny deszcz“.

Rys: Czecha — Kraków



WIECZOREM W PARKU

— Ach, kochany Janku!
— Jakto Janku? Przecież na imię mi Józef.
— No, do licha, któraż to godzina?

Marc Aurelio-Włochy



— Ten twój krawiec bardzo niedbale przyszył ci guziki. Już po raz piąty przyszywam ci znowu ten sam guzik...

Rys: Empp — Kraków

Słoneczniki





Na lewo:
Wśród tysiąca kwiatów wyczarowanych ciepłymi promieniami lipcowego słońca rozkwitł i słonecznik. Ciężko pochyla on w dół swą ziarnami obciążoną głowę.

Na prawo:
Groteskowo sterczą w ogrodzie nagie łodygi słoneczników „po żniwie", symbol znikomości i przemijania rzeczy na tym świecie.



Słonecznik — „co to z licem wielkim gorejącym, od wschodu do zachodu kręci się za słońcem" — przywędrował do nas z Meksyku i Peruwii zyskując po dziś dzień jak najobszerniejsze obywatelstwo na naszych polach i ogrodach, a już szczególnie silnie rozpowszechniła się jego uprawa w południowych krajach Europy, gdzie zajmuje nieraz olbrzymie łany. Niezwykły i bardzo malowniczy widok przedstawia takie pole słonecznikowe. Hen, jak okiem sięgnąć, połyskują złociście w słońcu ogromne, dwubarwne palety, których jaskrawa barwa jest głośnym wezwaniem do brzęczącej rzeszy owadów, aby spieszyły tu — gdzie w obfitości czeka na nich słodki nektar. Ale nie tylko estetycznych wrażeń dostarcza nam ta dekoracyjna r o ś l i n a. Również pod względem ekonomicznym uprawa jej daje nam duże korzyści. W nasionach słonecznika, których liczba w jednym tylko koszyczkowym kwiecie dochodzi do dwóch tysięcy, skupiona jest cała moc tej rośliny. Przez wygniecenie nasion w prasie wypływa z nich — niby dusza kwiatu — jasnożółty, o przyjemnym zapachu olej słonecznikowy, który służy jako produkt spożywczy oraz jako składnik do wyrobu mydła, pokostu i farb. I rzecz godna uwagi, że farby sporządzone na tym oleju w n o s z ą charakterystyczne, pełne ż a r u połyski w dzieła malarzy — jak gdyby za pośrednictwem oleju farby przejęły w siebie te gorące odcienie, którymi tak cudownie mieni się w s ł o ń c u kwiat słonecznika. Po usunięciu oleistych nasion, pozostaje soczyste kwiatowe dno, które bydło chętnie spożywa. Dobrą paszę dają także liście i łodyga, zwłaszcza w czasach, gdy inne środki żywności nie dopiszą. Słonecznik hoduje się również w pokojach jako ozdobną roślinę okazałego w z r o s t u. Wyprodukowano nawet wyłącznie ozdobne odmiany słonecznika.



Powyżej:
Złociście połyskujące kwiaty słonecznika wśród ciemnej zieleni liści pociągają jako modele, wszystkich malarzy pejsażystów.

Na lewo:
Dwie smukłe rączki przy małym „przedżniwiu".

Na prawo:
By ochronić dojrzałe ziarna przed wysypywaniem się, owija się często „głowę" słonecznika papierami lub płótnem.

Fot. Atlantic

